

Maria Kalinowska
Wydział Fizyki

Dzień świra-studentki

Budzę się rano. W zasadzie nie "ja się budzę", tylko budzi mnie śmieciarka, która co rano przejeżdża pod moim oknem. Zawsze wtedy mam ochotę wystawić głowę przez okno i zapytać, czy panowie muszą tak zasuwać od bladego świtu, i czy nie mogą wrócić zasuwać jak pojedą na wydział. Kultura osobista oraz fakt, że mam na sobie różową pizamę w misie skutecznie odwodzi mnie od tego pomysłu. Wracam do łóżka i gniewnie zakładam kołdrę na głowę. Nie mogę oddychać, więc ściągam ją tak, żeby nos wystawał, ale uszy były zakryte. Nasłuchuje czy "mafia śmieciarkowa" już odjechała i czy można dalej iść spać. Ze zdenerwowana rozbudziłam się, więc sprawdzam godzinę na zegarku w telefonie leżącym tuż obok łóżka. Jest 7.00. Żeby spokojnie dojechać przed czasem na wydział muszę wstać z łóżka o 7.35, żeby na 8.14 zdążyć na tramwaj, który w ciągu 40 minut zawiezie mnie na przystanek "Och-Teatr", z którego na dojeździe do wydziału potrzebuję około 7 minut. To daje mi 35 minut cennego niczym automat z czekoladą w holu FUWu snu. Agresywnie próbuję zasnąć, ale przez pobudzony obliczeniami mózg jest to niemożliwe. W takiej sytuacji przydałaby się aplikacja w telefonie, która po włączeniu powodowałaby, że człowiek od razu idzie spać i budzi się od razu po zadzwonieniu budzika. Zniknąłby problem nieprzespanych nocy przez stres lub inne czynniki zewnętrzne. Alternatywnym rozwiązaniem byłby pilot służący do wyłączania niektórych ulic z ruchu śmieciarek.

Zadzwonił budzik. Dżizas, Newton usnął w dole... No to zaczynamy igrzyska śmierci. Powoli wychodzę z łóżka, żeby nie zakręciło mi się w głowie i żeby przez gwałtowny ruch nie stracić na chwilę wzroku (kiedyś tak zrobiłam i brutalnie przetestowałam wytrzymałość mojego małego palca na kancie łóżka). Stawiam jedną nogę na podłodze - zimna! Drugie podejście. Stawiam nogę na dywanie - też zimny! Jeśli wśród nas są jacyś zimno-stópkarze to liczę, że pewnego dnia wymyślą podgrzewane dywany (wiem, że istnieją podgrzewane podłogi, ale moja sąsiadka z dołu z pochodzenia jest chyba eskimoską, bo chłód wieje nie tylko od niej, ale i od mojej podłogi nad jej mieszkaniem).

Udało mi się ubrać w wydziałową bluzę (pod nią mam bieliznę termiczną) i najgrubsze spodnie jakie mam. Nadchodzi czas największego z porannych wyzwania – umycia zębów. Mam szczoteczkę soniczną. Zawsze gdy jej używam łaskocze mnie podniebienie co wygląda, jakby szczoteczka próbowała mnie zabić. W czasie walki z sonicznymi mordercami powinniśmy stawić im opór w postaci nakładek na podniebienie, które chroniłyby nas przed mizianiem szczoteczki. Wypływam pastę do zębów i przepłukuje jamę gębową 2 razy (4 razy jeśli nałożę na szczoteczkę więcej pasty). Nigdy nie rozumiałam tych twardzieli w filmach, którzy nie płuczą ust po myciu zębów. Co oni robią z tą pastą, jedzą ją? Ja nawet gardło płuczę po myciu zębów. Opłukiwam.

Wychodzę z domu i zamykam drzwi. Zakładam plecak na plecy i już chcę schodzić po schodach, gdy przypominam sobie słowa mamy: "pamiętaj, żeby dobrze zamknąć okno, bo ktoś się może włamać...". Otwieram drzwi i robiąc w butach wielkie susy przez cały dom (żeby nie było widać, że weszłam w butach) sprawdzam, czy wszystkie okna są zamknięte. Zamknięte. Zamykam

drzwi i znowu słyszę w głowie głos mamy: "gaś za sobą światło, bo zobaczysz jaki rachunek za prąd przyjdzie...".

Przez chwilę próbuję zwalczyć tę myśl, bo przecież zwykle gaszę światło, poza tymi momentami, w których go nie gaszę. Zaczęłam przeliczać w głowie rachunek na kostki masła i tony węgla... Znowu otwieram drzwi, robię w butach wielkie susy (tak, żeby nie stawać na nowe miejsca na podłodze, tylko na te, na które stanęłam za pierwszym razem), sprawdzam światła, cofam się po ledwo widocznych śladach butów, zamykam drzwi i wychodzę z domu. Przydałaby się aplikacja w telefonie lub domofonie, która pilnowałaby żeby wykonać wszystkie czynności związane z wychodzeniem z domu, a raczej która pamiętałaby, czy te czynności zostały wykonane.

Idę na tramwaj. Nie idę – tuptam. Jest zimno, więc mój marsz przypomina chód nadpobudliwego pingwina. Dochodzę na przystanek gdzie zajmuję najbardziej strategiczne miejsce – w głębi z przodu tramwaju po prawej stronie. Tam jest zazwyczaj najmniejszy tłok, bo ludzie najbardziej lubią gromadzić się tuż przy najszerszych drzwiach. Czują się wtedy panami sytuacji okazując swoją dominację i pogardę osobom chcącym wsiąść lub wysiąść z tramwaju.

Tramwaj rusza. Przejeżdżam przez Rondo Waszyngtona, Centrum... Podjeżdżam na przystanek Plac Zawiszy i widzę ją... Legginsy w panterkę, torebka Gucci, rzęsy tak długie, że gdy mruga to zmienia tapetę w telefonie. Wtedy już wiedziałam... Czekam na Karyne jak na wykonanie wyroku, bo on już zapadł tam, na przystanku. Karyna wsiada do tramwaju, a z nią wsiada duszący zapach tanich-drogich perfum oraz elektrycznych papierosów. Naprzeciw mnie zwolniło się miejsce. Boże mniej mnie w swej opiece...

Zajmuje je Karyna, ale nie sama. Na kolanach sadza syna Brajanka, który na własnym Iphone na pełnym głośniku ogląda "Psi Patrol".

Dżizas, Newton usnął w dole... Reszta trasy to walka o życie. Zapachy wydzielane przez Karyne pobudzają moją chorobę lokomocyjną do działania. Wpatrując się w okno niczym aktorki w teledyskach odliczam przystanki, żeby wybiec z tramwaju i zaczerpnąć warszawskiego "świeżego" powietrza. Ja tu ginę, mamol!

Jest mój przystanek. Niczym olimpijczyk przekraczający metę szybko wybiegam z tramwaju na odchodne błogosławiąc i trzymając kciuki za panią, która od razu po opuszczeniu przeze mnie tramwaju zajęła moje siedzące miejsce z prędkością bliską prędkości światła. Ona jeszcze nie wie gdzie usiadła... Moim marzeniem jest teleporter, dzięki któremu zyskałabym cenne minuty snu, a dodatkowo choroba lokomocyjna i współpasażerowie nie stanowiliby nieprzyjemnego dodatku do każdej podróży. Nie jestem w stanie zliczyć ile razy ktoś nadepnął mi na stopę, gdy miałam nowiutkie, czystiutkie buty, albo ile razy dostałam od kogoś torebką w pizczel, albo ile razy ktoś słuchał mocnego techno/rapu z całym tramwajem, albo ile razy ktoś okazywał swoją dominację uniemożliwiając mi wyjście lub wejście do tramwaju, a po poproszeniu o zrobienie miejsca rzucał mi pogardliwe spojrzenie i przesuwiał się dosłownie o 1 nm.

Pada deszcz, więc w holu wita mnie parasol i spadająca do niego Niagara. Zaczynają się zajęcia, które trwają do godziny 20.00. Po zajęciach idę do szatni licząc, że ktoś jeszcze w niej siedzi.

Nie ma nikogo. Jedyną kurtką, która wisi jest moja kurtka. Tak sobie myślę, co mi z tego dnia zostało... co mi zostanie z tego tygodnia... co mi zostanie z tego miesiąca... co mi zostanie z tego roku... co mi zostanie z tego życia... Przydałby się zmieniać czasu (podobny do tego, który był w książkach o Harrym Potterze), dzięki któremu mogłabym być w kilku miejscach na raz, ale jednocześnie dzięki któremu mogłabym zatrzymać lub cofnąć czas (choć z tym raczej obchodziłabym się ostrożnie...).

Chciałabym robić coś mojego, własnego, coś co będzie moją pasją. Marzę o tym ale... nie mam miejsca ani czasu. Ileż to razy w myślach osiągnęłam wszystko. Udało mi się tylko nie być komunistką.

Po całym dniu walki o lepszy byt tuptam na przystanek "Och-Teatr" słuchając na słuchawkach piosenek z musicalu "Hamilton". Czekam na moją żółto-czerwoną limuzynę. Zaletą podróży o tej godzinie jest fakt, że większość Karyn o tej porze usypia swoich Brajanków. Limuzyna podjeżdża. Wsiadam do niej i siadam w głębi tramwaju z przodu po prawej stronie.

Korzystając z chwili dzwonię do dziadka. Dziadek jak to dziadek – tu boli, tam boli, ale generalnie daje radę. Zawsze opowiada mi o swoich przetworach, o kocie, o krewnych (których nie trawię...), o prognozie pogody. Czasem gdy zapytam, opowiada o najbliższej wizycie do lekarza specjalisty, która będzie za jakieś 2 lata, a planowana operacja za jakieś 5 lat ... Dżizas, Newton usnął w dole... Ile?! Nie, no to nie do wiary. Nie, to być nie może... Mam pewien pomysł: a gdyby tak zbudować urządzenie do którego się wchodzi, trochę jak do szafy do Narni, ale z ogromną liczbą kabelków, które jednocześnie wykonuje wszystkie badania? Ja wiem, że pewnych badań nie da się wykonać jednocześnie, bo jedne będą zmieniały wyniki drugich, ale gdyby powstały 4 rodzaje takich szaf z różnymi badaniami? Samo to znacznie usprawniłoby proces diagnozy i leczenia. Zmniejszyłyby się kolejki, czas oczekiwania na wyniki lub wizytę u specjalisty, zapotrzebowanie na ludzi przeprowadzających badania, co wiązałoby się ze zmniejszeniem cen za badania. Obecnie porządne badania krwi potrafią kosztować tyle co operacja plastyczna.

Wróciłam do domu. Przez deszcz i chłód przeziębiam zatoki, więc mam twarz spuchniętą jak Rocky Balboa po solidnym sparingu. Mama spoglądając na mnie z politowaniem daje mi herbatę z sokiem z pigwy i imbirem (na odporność). Herbata jest tylko podpuchą, która ma uspić moją czujność...

Przed moim przyjściem mama zauważyła ślady butów na podłodze. Delikatnie pyta, czy chodziłam w butach po domu. Chciałam iść w zaparte, że ja bym nigdy tego nie zrobiła i że może ktoś się włamał, ale wtedy sobie przypomniałam, że wychodząc dokładnie zamknęłam okna... Postanowiłam więc objąć inną taktykę i wziąć ją na litość. Nie zadziało. Obiecałam więc, że gdy już skończę studia i będę zarabiać miliony to zabiorę ją na Maderę i do Disneylandu. Kupiła to.

Trochę przesadziłam z tymi milionami, ale zaczęłam się zastanawiać dlaczego nie ma takiego systemu płac, który uwzględniałby kilka rzeczy: lata spędzone na samokształceniu, poziom zaangażowania w samokształcenie oraz wykonywaną pracę, poziom kultury osobistej, kręgosłupa moralnego i zasad etyki, a także to, czy dana osoba chce dobrze dla innych, czy tylko dla siebie. Zdaje sobie sprawę, że weryfikacja wszystkich tych elementów byłaby bardzo

trudna (a raczej niemożliwa), jednak mimo to marzy mi się taki system, który nagradza uczciwych ludzi, a nie cwaniaków. Co fajnie byłoby mieć, żeby to osiągnąć...? Nie chcę wchodzić w tematy polityczne, dlatego powiem, że wykrywacz kłamstw, który nie sugeruje czy dana osoba mówi prawdę lub kłamie, ale taki, który wie na 100%.

Na koniec dnia przed snem biorę garść tabletek: witamina D3 – na uzupełnienie niedoborów, rutinascorbin – na odporność, enterol – na poprawę pracy jelit, magnez – profilaktycznie. Przydałoby się urządzenie, którym w domu można byłoby zmierzyć, których z tych substancji faktycznie człowiekowi brakuje. Ile by człowiek zaoszczędził...? Może starczyłoby na waciki albo nowego Mercedesa...?

Przed pójściem spać zakładam grube skarpetki, które potem zdejmuję przez sen, gdy już wystarczająco nagrzeją mi się stópki. Leżąc w łóżku analizuję dzisiejszy dzień, myślę o tym "co by było gdyby" oraz jakich lepszych ripost mogłam użyć w kłótniach sprzed 10 lat.

Wspominając miniony dzień boję się następnego dnia, że będzie wyglądał tak samo, że każdy mój dzień będzie tak wyglądał... ale wtedy sobie myślę, że moje życie jest "mojsze" niż kogokolwiek i że ponury absurd dzisiejszych czasów kiedyś się musi skończyć.

Na koniec dnia przydałby się jeszcze jeden wynalazek – cieniutkie okulary, które można by założyć na leżąc (tak, żeby nie uwierały) które wyświetlałyby wszystkie szczęśliwe momenty z życia człowieka, a przede wszystkim te, których już się nie pamięta. Myślę, że gdyby ludzie mogli kończyć tak każdy dzień, to mieliby więcej siły na zaczynanie następnego z nadzieją, że wydarzy się coś nowego i miłego, co będą mogli dodać do swoich wieczornych seansów.